

Turnicki węzeł gordyjski

Na łamach DŻ kilka lat temu wielokrotnie pisano o kampanii na rzecz utworzenia Turnickiego Parku Narodowego na Pogórzu Przemyskim. Po latach wracamy do tego problemu. Bo jest do czego wracać...

O co chodzi?

Obszar projektowanego parku należy do Pogórza Karpat Wschodnich, który jest stosunkowo mało przekształcony przez człowieka. Teren projektowanego TPN znajduje się w sąsiedztwie zbiegu trzech prowincji geobotanicznych, czego konsekwencją jest rzadko spotykana różnorodność gatunków i zespołów o odmiennych wymaganiach siedliskowych. Są zatem gatunki stepowe zasiedlające suche nasłonecznione zbocza oraz ceniolubne i zimnolubne gatunki górskie. Teren w przeważającej większości jest pokryty lasem. Bogata jest fauna - spotyka się tu duże drapieżniki, takie jak ryś, wilk, niedźwiedź oraz rzadkie gatunki ptaków: puchacz, gąsiorek, zimorodek. Obszar ma również bardzo wysokie walory krajobrazowe.



Potok w rezerwacie Krępak. Fot. Karolina Bielenin

Sercem projektowanego TPN jest dawne tzw. państwo arłamowskie. Pod koniec rządów Władysława Gomułki powstał tu Ośrodek Urzędu Rady Ministrów - miejsce polowań dla ówczesnych notabli. Był to teren leśny o powierzchni 16 000 ha ogrodzony 120-kilometrowym wysokim i gęstym płotem. Dzięki specjalnym pochylniom zwierzęta mogły wchodzić na ten teren, ale nie mogły już wyjść. Stąd obfitość zwierzyny łownej dla ówczesnego establishmentu. Na miejscu nieistniejącej wsi Arłamów wybudowano hotel, domki w stylu pseudotatrzańskim i lotnisko dla rządowych samolotów.

Teren projektowanego parku jest słabo zaludniony i w dużej mierze wtórnie zdziczały. Ludność stąd – podobnie, jak w Bieszczadach czy Beskidzie Niskim – została wysiedlona w ramach akcji „Wisła”, a wsie spalone. Wiele wsi do dziś jest niezamieszkałych, a o dawnej obecności ludzi świadczą tylko zdziczałe sady i zapuszczone cmentarze.

Z tych względów obszar jest słabo zagospodarowany, a spora część terenu projektowanego parku należy do Skarbu Państwa. Był to bardzo ważny aspekt przemawiający za utworzeniem parku, albowiem zwykle problem z wykupem ziemi od prywatnym właścicieli jest przeszkodą w objęciu jakiegoś obszaru ochroną.

Inicjatywa utworzenia parku narodowego na obszarze byłego państwa arłamowskiego wyszła w 1992 r. od ówczesnego ministra ochrony środowiska Stefana Kozłowskiego, który wystąpił z takim wnioskiem do wojewody przemyskiego. Wkrótce został opracowany i wydany w formie książkowej projekt parku. Autorzy w uzasadnieniu potrzeby utworzenia parku piszą m.in.: „Jednym z najważniejszych argumentów przemawiających za powołaniem parku narodowego jest stan zachowania oraz zróżnicowanie zbiorowisk roślinnych. W szczególności są to:

- rozległe kompleksy leśne o bardzo wysokim stopniu naturalności (ok. 60% lasów to naturalne zbiorowiska leśne, budowane w większości przez starodrzewy jodłowo-bukowe o charakterze puszczy karpackiej);
- jedyny w Polsce lesisty fragment brzeżnej części Karpat Wschodnich;
- dobrze wykształcone i zachowane zbiorowiska roślinne, z których najcenniejsza jest dolnoreglowa żyzna buczyna karpacka;
- bogate gatunkowo zbiorowiska łągów górskich i podgórskich;
- znaczący udział zbiorowisk kserotermicznych z licznymi elementami flory pontyjskiej i subpontyjskiej;
- liczne stanowiska 68 gatunków roślin górskich (w tym 6 wschodniokarpackich), 70 gatunków chronionych oraz 12 uznanych za rzadkie i ginące;
- liczne fragmenty przyrody i krajobrazu kwalifikujące się do ochrony rezerwatowej;
- okazałe egzemplarze drzew i krzewów lub ich zgrupowania;
- interesujące procesy sukcesji roślinnej na dawnych gruntach rolnych, zmierzające do odtworzenia naturalnych zbiorowisk leśnych”.

Dwa lata później projekt pozytywnie zaopiniowała Rada Ochrony Przyrody. W 1995 r. Rada Ekologiczna przy Prezydencie RP domaga się jak najszybszego utworzenia Turnickiego PN. Jednak ówczesny minister Stanisław Żelichowski uznał, iż nie widzi możliwości powołania nowego parku. Poparła go Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych z Krosna, która wcześniej wobec projektu miała stanowisko pozytywne.



Pogórze Przemyskie. Fot. Karolina Bielenin

Kręte ścieżki kampanii

Od początku 1996 r. Pracownia na rzecz Wszystkich Istot prowadziła kampanię na rzecz utworzenia Turnickiego PN, jednak ani ministerstwo, ani Generalna Dyrekcja Lasów Państwowych nie uznawały tego terenu na tyle cennym, aby objąć go najwyższą w Polsce formą ochrony. Przyrodnicy i ekolodzy mieli jednak inne zdanie. 15 lutego 1996 r. powołano społeczną radę TPN, w skład której weszli autorzy projektu, profesorowie Stefan Kozłowski i Roman Andrzejewski, przyrodnicy oraz przedstawiciele Pracowni. Przewodniczącym rady został ornitolog Przemysław Kunysz.

W tym samym roku, 8 marca, w Nadleśnictwie Bircza Pracownia złożyła swoje stanowisko w sprawie opracowania „Planu Urządzania Lasu Nadleśnictwa Bircza” na obszarze projektowanego Turnickiego PN, w którym domaga się uznania za konieczne w gospodarowaniu lasem m.in. zinventaryzowanie drzew pomnikowych, gniazd ptaków drapieżnych, pozostawienie starych, próchniejących i dziuplastych drzew, zalesianie jedynie po uprzedniej waloryzacji powierzchni nieleśnej oraz nieregulowanie potoków i pozostawianie w nich leżących kłód.

W kampanię na rzecz parku włączyły się również zespoły muzyczne, które zadedykowały swe koncerty lasom arłamowskim. „Trasę arłamowską” w latach 1996-1997 miały zespoły Dezerter, Fate i La Aferra. Koncerty odbyły się na terenie gmin, w których granicach mieścił się projektowany park (Ustrzyki Dolne) oraz w okolicznych dużych miastach – Rzeszów, Krosno. Swoją wystawę pt. „Mistyka Przyrody”, zorganizowaną w kwietniu 1998 r., poświęcił projektowanemu parkowi rzeszowski fotografik Jan Darecki „Jano”.

Od początku kampanii zbierane były podpisy pod petycjami, wśród sygnatariuszy znalazło się wiele osób miejscowych. 7 października 1996 r. w Warszawie pod Ministerstwem Ochrony Środowiska odbyła się pikietą ok. 20 osób z Warszawy, Bielska, Łodzi, Przemysła i innych miast. Stertę podpisów (30 tysięcy!) przyjął dyrektor Departamentu Przyrody dr inż. Jan Wróbel, ale – jak oznajmił członkom

Pracowni i przybyłym dziennikarzom – ministerstwo nie przewiduje w najbliższym czasie utworzenia Turnickiego PN ze względu na brak finansów oraz niskie walory przyrodnicze tego regionu. Kolejna manifestacja odbyła się w czerwcu 1998 r. w Przemyślu. Uczestnicy zbierali na mieście podpisy pod petycjami i do ówczesnego wojewody, Leszka Kisiela, skierowali apel ws. szybkiego utworzenia Turnickiego PN oraz wprowadzenia moratorium na cięcie starodrzewów. Wojewoda był nastawiony przychylnie do żądań ekologów, ale niewiele to pomogło. Parku jak nie było, tak nie ma. Kolejni wojewodowie – już bardziej oddaleni od terenów projektowanego Turnickiego PN – sprawą się nie zajmowali. Tak było wygodniej.

Większość terenów projektowanego parku stanowiły grunty należące do państwa. Niewiele to pomogło w staraniach o objęcie ich ochroną. Po pierwsze, państwo woli zarabiać pieniądze niż chronić przyrodę, zatem Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa sprzedaje te tereny prywatnym właścicielom. Po drugie, państwowe wcale nie znaczy „wspólne” czy „niczyje”, jak to się często wydaje. Pieczę nad tym obszarem sprawują bowiem różne lobby, zwłaszcza powiązane ze sobą kliki łowiecko-leśne. Leśnicy czują się tu jak niepodzielni władcy, a ich mocna pozycja nie bierze się znikąd. Lasy Państwowe na tym obszarze, dotkniętym bezrobociem i zapaścią przemysłu, są największym pracodawcą i najbogatszą firmą. To oni tak naprawdę rozdają karty w całym regionie, a lokalne władze polityczne muszą się liczyć z ich głosem, jak z niczym innym. Wspierający ich miłośnicy polowań, niejednokrotnie wywodzący się ze sfer polityki i biznesu, tylko potęgują tę siłę.

Wytną i po problemie

Leśnicy ani myśleli wypuścić tego terenu z własnych rąk. Oznaczałoby to nie tylko utratę zysków z wycinki starodrzewów, ale i pozbawienie władzy symbolicznej – gdyby budynek przyszłego parku narodowego miał większe znaczenie niż budynek nadleśnictwa, to i paradowanie w zielonym mundurze nie otwierałoby tak wielu drzwi, jak obecnie.



Paśnik i poidło w rezerwacie Krępak – leśnicy dbają o zwierzęta. Fot. Karolina Bielenin

Pod piły poszły zatem dorodne buki i jodły z okolic najcenniejszych miejsc parku - Rezerwatu „Turnica” i góry Suchy Obycz. Mocno na wycinanie starodrzewów naciskała Przeworska Fabryka Krzesel „Trax”. Jej dyrektor publicznie wypowiadał się, że najlepsze drewno do produkcji krzesel znajduje się na terenie projektowanego parku i zrobi wszystko, aby park nie powstał. Wtórowali mu leśnicy z Birczy, którzy uważali, że lasu cały czas przybywa i wycinki nie stanowią zagrożenia. W ręce prywatnych właścicieli dostały się budynki rządowego ośrodka w Arłamowie. Rozwijająca się tam infrastruktura turystyczna znacznie bardziej niż za PRL-u ingeruje w ekosystem i tendencje te cały czas się nasilają.

Miejscowi ludzie mają bardzo ambiwalentny stosunek do parku. W lutym 1997 r. w ramach projektu sieci Strażników Miejsc Przyrodniczo Cennych odbył się obóz szkoleniowy w Rybotyczach na Pogórzu Przemyskim. Aktywiści poznali walory przyrodnicze i kulturowe okolicy oraz rozmawiali z miejscową ludnością. Skrajnie odmienne były poglądy na utworzenie parku wójta Fredropola (za swoją proparkową postawę stracił wkrótce posadę), który upatrywał w idei parku szansy rozwoju i promocji ubogiej gminy oraz wójta Birczy, który zalecił nam utworzenie parku w Bielsku-Białej oraz wykazał bardzo agresywną postawę w stosunku do jakichkolwiek idei ochroniarskich na tym terenie.

I tak mijały lata. Park nie powstawał. Ministerstwo środowiska cały czas zaślaniało się brakiem pieniędzy, a następnie zgody samorządów lokalnych. Leśnicy wycinali co się dało, co najwyżej starając się zamaskować swoją standardową działalność poprzez tworzenie pokazówek w rodzaju leśnych kompleksów promocyjnych. Promocja to może i jest, ale na pewno nie ochrony przyrody, lecz pozyskiwania drewna. Od jakiegoś czasu dochodziły do nas słuchy, że na tym obszarze dzieje się coraz gorzej, nawet jak na standardy polskiej gospodarki leśnej. Korzystając więc z okazji, jaką jest sezon urlopowy, wybraliśmy się na Pogórze Przemyskie, by zobaczyć, co w trawie piszczy. Warto było jechać, bo mogliśmy dzięki tej wyprawie zrewidować kilka mitów narosłych wokół całego problemu. Także mitów ekologicznych...

Podróż na wschód

Ekolodzy w starciu z oporem urzędniczej i biznesowej materii mają na ogół w odniesieniu do obszarów chronionych proste rozwiązanie. Nazywa się ono rozwojem turystycznym. Logika jest taka: im więcej turystów odwiedzi dany region, tym więcej zostawią pieniędzy, a w związku z tym do idei parku przekona się duża liczba „tubylców”, mniejsze będzie też znaczenie dochodów uzyskiwanych „z lasu”. Wszystko pięknie, problem w tym, że taka wizja ma się do Pogórza Przemyskiego jak pięść do nosa.

Powiedzmy sobie szczerze: turystyka nie jest mniej inwazyjna niż leśnictwo. Widać to doskonale w Tatrzańskim PN. Współczesna turystyka to nie piesze wędrówki z plecakiem i podziwianie przyrody. To sznury samochodów, zabudowa całej okolicy pensjonatami i wszelkimi możliwymi inwestycjami, to infrastruktura, blichtr i tandeta. Piękno Pogórza Przemyskiego nie stanowi dziś żadnej wartości dla tej nowoczesnej turystyki - samochodem można wszystkie tutejsze atrakcje turystyczne objechać w dwa dni i na tym koniec. Żeby przyjezdni chcieli zostać na dłużej, trzeba by ich czymś „zająć”, czyli zeszpecić całą okolicę różnymi inwestycjami służącymi tzw. czynnemu wypoczynkowi. Tyle tylko, że na takich inwestycjach traci zawsze przyroda, bo zabudowa wlewa się w coraz to nowe skrawki chronionego terenu. Pomysł rozbudowy kolejki na Kasprowy Wierch w Zakopanem jest najdobitniejszym przykładem tego, w którym kierunku zmierza tzw. rozwój turystyczny. Uchowaj Boże Pogórze Przemyskie przed naśladowaniem takich rozwiązań. To teren atrakcyjny, ale nie dla tłumów turystów, lecz raczej dla koneserów. Rezerwaty przyrody, zachowane w jeszcze dobrym stanie lasy gospodarcze, piękne wzgórza i rozległe widoki, mnóstwo malowniczych potoków. I nieco zabytków kultury materialnej, ale niezbyt spektakularnych. Ot, jakiś zabytkowy układ przestrzenny małego miasta, cmentarna kaplica sprzed dwóch stuleci, niewielki dworek pełniący funkcję szkoły,

cerkiew przemianowana na kościół, stare chałupy w malutkich wioskach. Owszem, to wszystko jest warte uwagi, bardziej nawet niż pokazowe zabytki dużej klasy (jak wymuskany pałac w Krasieczynie), ale ile osób zechce odwiedzać takie miejsca, przebywać w nich dłużej niż kilka dni, zwłaszcza poza sezonem urlopowym? I co ważniejsze w kontekście alternatywy wobec pracy w lesie – zostawić jakieś poważniejsze pieniądze? Poważniejsze niż te, które dają co miesiąc Lasy Państwowe: pensje, ubezpieczenia, dodatki służbowe.

Niedaleko stąd są Bieszczady i tam jeżdżą i będą jeździły tłumy turystów. Co musiałyby zrobić lokalne władze np. Birczy, aby przebić taką „atrakcję turystyczną”, jak obrzydliwe betonowe monstrum na Solinie, dzięki któremu powstał tam oblegany zalew? Dzisiaj nie ma na terenach projektowanego Turnickiego PN prawie żadnych turystów. Czasem przemkną jacyś rowerzyści, przejazdem – po drodze w Bieszczady – zatrzyma się samochód, by jego pasażerowie obejrżeli mizerną cerkiewkę. I to wszystko. W gospodarstwie agroturystycznym, w którym mieszkaliśmy, większość gości to robotnicy sezonowi czy ekipa weselników. O życiu z turystów nikt chyba nie myśli tu poważnie: kilka gospodarstw agroturystycznych prowadzą osoby dorabiające do emerytur, a jakieś większe inwestycje tego typu (np. hotelik ze stadniną koni) zarabiają raczej na wizytach nowobogackich z pobliskiego Przemyśla niż na przyjezdnych z daleka. I niewiele zmieniliby w tym względzie utworzenie parku narodowego. Przestańmy się łudzić wizjami tysięcy wrażliwych na przyrodę turystów z Zachodu, którzy będąc chcieli zostawiać tu tysiące dolarów czy euro – gdyby było to w Polsce na dużą skalę realne (i to w całym kraju, a nie w kilku modelowych miejscach), to mielibyśmy od dawna dziesiątki lokalnych inicjatyw na rzecz tworzenia parków narodowych, tak jak mamy podobne postawy w kwestii tego, na czym naprawdę się dziś zarabia, czyli wyciągów narciarskich i innych lunaparków. Poza kilkoma centrami turystycznymi (np. Arłamów), większość okolicznych miejscowości nie odczułaby żadnego napływu turystów. A to właśnie w tych wioskach mieszkają dziś ludzie, dla których Lasy Państwowe są wymarzoną pracodawcą i jedyną ostoją w świecie ekonomicznego zamętu. Nie łudźmy siebie, nie oszukujmy innych.



Powszechny obrazek na Pogórzu Przemyskim. Fot. Karolina Bielenin

Leśnik na włościach

Lasy Państwowe to naprawdę lokalna potęga. Widać to nawet na pierwszy rzut oka. Urząd Gminy Bircza mieści się w starej, małej kamieniczce nieopodal rynku. Siedziba nadleśnictwa to wielki gmach główny, któremu towarzyszy kilka niewiele mniejszych. Obok budynki z mieszkaniami służbowymi dla leśników. Od razu widać, gdzie naprawdę są pieniądze i władza. Nie inaczej jest w świadomości społecznej. Nasza gospodyni z dumą mówi, że jej syn jest leśniczym. Gdy siedzimy pod sklepem w Leszczawie Dolnej, zagaduje nas miejscowy, na oko 30-letni mężczyzna, lekko pijany. Już po chwili wiemy, że nie ma tu żadnych perspektyw, no chyba - tu oczy rozmówcy rozbłyskają - że ma się pracę w lesie. O, wtedy to co innego. Ale on pracy w lesie nie ma, podobnie jak jego koledzy spod sklepu. Dorabiają czasem parę złotych w mieszczącym się nieopodal prywatnym tartaku, gdzie niedosze parkowe drzewostany przerabiane są na deski. Praktycznie nie widać w okolicy żadnych poważnych - niezwiązanych z lasami - przedsięwzięć gospodarczych. Jedynie spółdzielcza piekarnia, kilka sklepów i knajp, warsztat samochodowy, mały zakład masarski - i to wszystko. Jeśli coś powstaje, to zyski idą zewnątrz - jak we wspomnianym hoteliku przy stadninie, którego właścicielem jest potomek Sapiehów mieszkający w Belgii, zatrudniający administratora z Przemyśla. Miejscowi mieli przy tym pracę, gdy trzeba było rozsypać gruz w celu utwardzenia terenu - na kilka butelek taniego wina wystarczyło. Cały zysk „wyjeżdża” z okolicy.

A Lasy Państwowe płacą nieźle i w terminie. Nic dziwnego, bo jedyny większy przejaw działalności gospodarczej to ogromne ciężarówki wywożące drzewa z lasu. Widzimy je, jak transportują grube pnie jodeł i pochodzące z przecinki niewielkie buki - te ostatnie miejscowi kupują na opał, niemal przy każdym domu piętrzy się sterta bukowych klocków.

U Pana Boga za piecem

Leśnicy robią tu, co chcą. Nikt im nie patrzy na ręce, bo to odludzie, poza tym kto chciałby podpaść takiej potędze. Tu prawie każdy ma w rodzinie lub wśród znajomych kogoś, kto pracuje w LP. Nic więc dziwnego, że lasy znikają. Nie ma powodu, by wątpić, że coś odbywa się tu niezgodnie ze sztuką leśną. Zapewne są operaty, plany, ustalenia, pieczętki i podpisy. Ale co nas to obchodzi, gdy napotykamy barbarzyńsko ogołocony z drzew stok? Albo dziesiątki niemiłosiernie rozjeżdżonych dróg zrywkowych. Albo urągające zdrowemu rozsądkowi i ekonomii składy, na których piętrzą się od kilku lat - widać to wyraźnie po kolorze drewna i całym otoczeniu - stosy drzew nieznajdujące nabywców. Tu już nie chodzi o park narodowy, lecz o to, by cokolwiek ocalić przed tzw. zrównoważoną gospodarką leśną.

Całemu procederowi towarzyszy swoista mitologia. Leśnik nie wycina, on tylko gospodaruje lasem, ku pożytkowi obecnego i przyszłych pokoleń. I stać go na gest, żeby to unaocznic. Tak jest w rezerwacie przyrody „Krępak”, przepięknym, choć niestety rozciętym na pół ruchliwą drogą Przemyśl - Sanok. Jedną część rezerwatu zostawiono w spokoju, choć też nie do końca, o czym przekonuje świeżo pocięty na niewielkie klocki pień powalonej przez wiatr jodły rosnącej na brzegu strumienia. W drugiej części leśnicy utworzyli ścieżkę dydaktyczną, służącą nie tyle do nauczania, co do indoktrynacji. Z niemal każdej planszy możemy się dowiedzieć, że leśnicy dwoją się i troją, żeby Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej: walczą ze „szkodnikami”, dokarmiają zwierzęta (czego dowód tuż przy ścieżce widnieje w postaci paśnika, poidła i lizawki) - aby ograniczyć zgryzanie przez nie młodych pędów i kory z drzew, itd. O konieczności działań leśników w lesie informują nas ustawione co i rusz tabliczki. Z nich też dowiadujemy się o tym, jakie rośliny i zwierzęta możemy tu zaobserwować. I obserwujemy, rzecz jasna, skoro tak piszą, to muszą być. Przez długi fragment ścieżki nie słyszeliśmy ani jednego ptaka. Dochodzimy do odpowiedniej tabliczki z informacją, co w lesie śpiewa i oto do naszych uszu zaczęły docierać głosy różnych ptaków. Wszystko jest tu tak sztuczne, że śmiejemy się, iż to odgłosy z playbacku albo ptaki zostały

wytresowane pod kątem potrzeb turystów. Żeby ułatwić poznanie przyrody rezerwatu, wzniesiono nawet monstrualnej wielkości konstrukcje – schody, barierki etc. – chyba na wypadek, gdyby miejsce to odwiedziła jakaś wylegantowana paniusia w butach na wysokich obcasach lub otyły amerykański nastolatek. W każdym razie przyrodę rezerwatu można w całej okazałości zobaczyć dopiero po opuszczeniu ścieżki i zagłębieniu się w królestwo jodeł i buków, stojących i powalonych, dziuplastych i omszałych, wspaniałych.

Nie ma się co zatem dziwić, że leśnicy czują się tu dobrze i niespecjalnie przejmują taką ochroną przyrody, która polega na zostawieniu natury samej sobie, nie zaś na tworzeniu tablic informacyjnych i edycji kolorowych folderków. W dodatku wspierają ich w utrwalaniu owego status quo myśliwi. Ambony strzeleckie to widok powszedni. W kiosku w Birczy „Łowiec Polski” jest wyeksponowany tak, jak najpoczytniejsze tygodniki. Czyta go np. kierowca autobusu, który jedzie do Sanoka. „Gwiazdami” festynu z okazji Dni Birczy są dzielni strzelcy z miejscowego koła Polskiego Związku Łowieckiego. I komu tutaj jest potrzebny park narodowy?



San na Pogórze Przemyskim. Fot. Karolina Bielenin

Stagnacja

Ludzie nigdzie się nie spieszą, nikt nie oczekuje cudu ani wielkiej zmiany. W wioskach sklepy są zamykane w środku dnia na kilka godzin, ot, taka polska wersja sjesty. We wszystkich z nich te same podstawowe towary. Wszystkie lokale rozrywkowe zamykane są o 22.00. Panuje tu cisza i spokój. I brak perspektyw. Gdy w niedzielne popołudnie wybieramy się na festyn, zachwyca nas głos jednej z dziewczynek występujących na scenie. To laureatka wielu konkursów, taka birczańska „gwiazda”. Ale, jak mówi nasza gospodyni, pewnie się zmarnuje, bo matka nie ma pracy od kilku lat, a ojciec niedawno ją stracił i nikt nie wysłał Dorotki do porządnej szkoły muzycznej. W Birczy w domu kultury główna forma aktywności to sala bilardowa...

Czas też jakby zatrzymał się w miejscu. Pod pomnikiem w centrum Birczy leżą świeże wiązanki. Pomnik wzniesiono ku chwale funkcjonariuszy MO, UB i KBW, poległych w walkach o „utrwalenie władzy ludowej” i z „reakcyjnym podziemiem”. Nieopodal obelisk upamiętniający żołnierzy, którzy oddali swe życie w walkach z „bandami UPA” – też leżą świeże kwiaty. W pobliżu pierwszego

pomnika, jakieś sto metrów od niego, popada w ruinę stara synagoga. Mało kto z miejscowych wie, że to była właśnie synagoga.

Poza tym wszyscy mają tu kompleks Bieszczadów. Ba, niekiedy mówią o swoim terenie, że to Bieszczady. Stąd też restauracja ma w nazwie Bieszczady, podobnie z innymi lokalami czy miejscowymi produktami w sklepach. Taki prowincjonalny kompleks. I trudno im się dziwić – Bieszczady są znane w całej Polsce, walą tam tłumy turystów, a tu co? Ano nic, stagnacja. Dobrze chociaż, że na Ukrainę niedaleko – każdy bardziej obrotny wsiada w samochód i przemycia stamtąd spirytus i papierosy. Jedyne pewne źródło dochodu.

Ani słowa o parku

Tym ludziom nie ma sensu mówić o parku narodowym czy turystyce. Najpierw trzeba im dać zarobić, stworzyć perspektywy i zorganizować realną alternatywę wobec pracy w lesie. Wtedy na park zgodzą się chętnie. Ale to wszystko wymaga pieniędzy, olbrzymich pieniędzy. A tych, jak wiadomo, nie ma, a już na pewno nie na ochronę przyrody i pomoc takim prowincjonalnym okolicom.

Jeśli chcemy mieć Turnicki Park Narodowy, to przestańmy wierzyć w turystykę i edukację lokalnej społeczności, a zacznijmy naciskać na leśników, by zaprzestali barbarzyńskich form wycinki, a także na władze centralne, by zechciały wyłożyć na wsparcie tych terenów chociaż tyle, ile dokładają do budowy warszawskiego metra. To na początek wystarczy, jeśli mądrze spożytkuje się gotówkę. Bo nie tylko o pieniądze tu chodzi, lecz także o świadomość, że miejscowi nie są zostawieni samym sobie, a jedyny podmiot, na którego zainteresowanie mogą liczyć to Lasy Państwowe.

Karolina Bielenin, Remigiusz Okraska